

Jan Witkowski

część II z II

Sygnatura notacji: **N0438**

Data urodzenia: **20.11.1931 r.**

Data nagrania: **22.03.2023 r.**

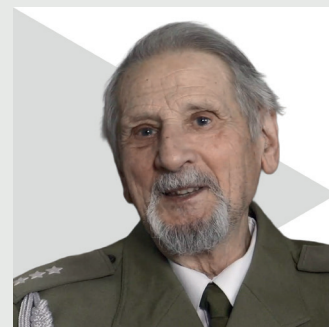
Miejsce nagrania: **Don świadka, Warszawa, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 32 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jan Witkowski: Kurs długi był, bo kurs trwał chyba ponad pół roku. Jeśli chodzi o samochody ciężarowe, to mieliśmy najwięcej takiej praktyki jeżdżenia w kolumnach samochodowych. To wyglądało tak. Kierowca siedział. To były takie ciężarowe samochody, kanadyjskie Fordy Fergusony. Obok był sygnalizator. On miał w suficie, w górze, otwór taki, gdzie mógł go otworzyć, stał na siedzeniu z chorągiewkami i podawali sobie sygnały. Zwłaszcza to było bardzo dobre i praktyczne, jak mieliśmy jazdy w nocy, bo jazdy w nocy odbywały się nie przy pełnym oświetleniu reflektorami, tylko takie były reflektorki, trochę tam na ziemi człowiek widzi, a resztę podpowiadał sygnalizator, czy szybciej jechać, czy wolniej, czy się zatrzymać, czy skręcać. W każdym razie bardzo dobry taki kurs był. To prawo jazdy, jak wróciłem do Polski, przez nasze ludowe władze nie zostało uznane, a chciałem koniecznie dalej umieć jeździć, jeździć, to znaczy umiałem jeździć, ale żeby jeździć dalej, musiałem pójść na kurs. Co prawda to była maskarada, bo podpisywałem tylko listę, że jestem na kursie, i koniec na tym. I płaciłem za kurs. Tylko to. Dostałem tę trójkę, prawo jazdy. Mam do dzisiaj tego dnia. Jeżdżę do dzisiaj tego dnia samochodem. Zresztą bardzo lubię jeździć samochodem. Sprawia mi to i frajdę, i przyjemność wielką.

Szymon Nowak: A jak się stało, że Pan wrócił do Polski?

Jan Witkowski: To się tak stało, że tam z tego obozu, w którym chodziłem do szkoły, w końcu też była reorganizacja i przenieśli znów nas pod Hamburg, do miejscowości Wolfen, olbrzymie koszary niemieckie, piękne zresztą koszary niemieckie, były murowane, śliczne. I tam w tych koszarach byliśmy do listopada. W listopadzie był wydany rozkaz o demobilizacji. Po rozkazie demobilizacyjnym każdy miał podjąć jakąś decyzję, co ze sobą zrobić. Różne były

decyzje. Wielu wyjechało do Stanów Zjednoczonych. Część nawet wyjechała do Australii, bo były takie możliwości. Wiem, że niektórzy zostali w Niemczech, w Hamburgu nawet zostali niektórzy. Ponieważ stryjek wrócił wcześniej do Polski, stryjek pisał listy do taty mojego, żeby wrócił tata. Tata postanowił wrócić. Wróciliśmy w grudniu 1946 roku ostatnim transportem Czerwonego Krzyża, jaki był zorganizowany na przywiezienie byłych jeńców, żołnierzy polskich do Polski. Wróciliśmy. Wróciliśmy do Warszawy. W Warszawie jakoś tam się zagospodarował stryjek, dostał ma-lusieńkie mieszkanko na Mokotowie. To znaczy w normalnym mieszkaniu stryjek i stryjenka, oni byli bezdzietni, dostali maleńki pokój w mieszkaniu, gdzie były jeszcze inne rodziny zakwaterowane. Myśmy tutaj nie mieli w Warszawie możliwości zamieszkania, nie mieliśmy miejsca. Wujek w bydgoskim pod Grucznem miał młyn, na który wrócił. Tam się zatrzymaliśmy jakiś czas. Tata się w dalszym ciągu tam starał o jakąś pracę. Dostał przydział pracy na Mazury, pod granicę pruską na Mazurach. Z wykształcenia ojciec był rolnikiem, został dyrektorem. To się nazywało Państwowe Nieruchomości Ziemskie, czyli były majątki poniemieckie, i tam dostał przydział do gospodarki na 3 majątkach, bo tam ludzi w ogóle nie było, pustki były. I na tych trzech majątkach tam rządził. Ja z siostrą do szkoły nie chodziliśmy, bo tam szkoły nie było. W tych trzech majątkach to tylko byli w dwóch ludzie, bo tyle ludzi starczyło na obsadzenie i na obro-bienie tych pól od tych odłogów olbrzymich, które tam były. Znow się starał, żebyśmy gdzieś mogli pójść do szkoły. I dostał przydział znow do majątku pod Olsztyn, do Klebarka Wielkiego. Był dyrektorem na tym majątku. Stamtąd już mogliśmy chodzić do szkoły. Ja i siostra. Oboje z siostrą jeździliśmy, bo takie możliwości tata miał. Bryczka i furmana, dawał i jechaliśmy do Olsztyna do szkoły. I z powrotem nas przywoził. Siostra też kończyła gimnazjum, ja kończyłem gimnazjum w Olsztynie. Zresztą jak już zacząłem chodzić do gimnazjum, to się wystarałem, że nie musiałem jeździć, bo dostałem internat. I w internacie na Kortowie mieszkalem, a w al. Wojska Polskiego do tego gimnazjum tam chodzi-łem. Stamtąd w 1949 roku sam, znaczy za namową mojego przyjaciela, przenieśliem się do Warszawy, bo przyjaciel, ojciec mojego przyjaciela był pracownikiem kolei, Dyrekcji Olsztyńskiej Kolei Państwowej i został przeniesiony służbowo do Warszawy. I ten kolega mówił: „Ja już chodzę tutaj do liceum komunikacyjnego w Warszawie, bardzo fajnie jest, przyjeżdżaj”. Dużo się nie namyślając, wsiałem w pociąg, przyjechałem, poszedłem do stryjka, że się przenoszę do Warszawy, żeby tam załatwił mi miejsce w tym liceum komunikacyjnym miejsce i jakieś mieszkanie. Mieszkanko załatwił mi niedaleko siebie na Kieleckiej u swoich znajomych. A ja poszedłem właśnie tam, załatwił mi w tym liceum komunikacyjnym miejsce. I tam ukończyłem to już nie jako liceum komunikacyjne, bo znow była reforma szkolna, tylko jako technikum kolejowe. I tam zdałem dużą maturę. Po zdaniu dużej matury wszyscy, taki układ był, dostawaliśmy nakazy pracy. Z mojej klasy dostało dwóch uczniów tylko możliwość studiowania na Politechnice, reszta dostała na-kazy pracy do najróżniejszych zakładów pracy. Ja dostałem nakaz pracy do Poznania do Zakładów Cegielskiego. I znow, nie chciałem tam jechać. Bo jak chodziłem do liceum, kolega mnie namówił, on był sportowcem i namówił mnie, żebyśmy razem z nim trenowali i tam chodził. I to był Klub Sportowy Kolejarz, tam gimnastykę przyrządową treno-wałem. I poszedłem po prostu do dyrekcji na Chałubińskiego z prośbą, żeby mi zmienili nakaz pracy na Warszawę. I zmienili mi. I dostałem przydział do pierwszego oddziału eksploatacyjnego wagonów na ul. Armatnią, tutaj. I tam poszedłem do pracy. Potem znow zabrano mnie do wojska. Odbylem te 2 lata zasadniczej służby wojskowej. Rok czasu w jednostce w pułku w Morągu. Skończyłem tam szkołę podoficerską ze specjalnością dalmierzysta artylerii przeciwlotniczej, bo ja miałem kiedyś bardzo dobry wzrok, naprawdę dobry. Ja lornetki nie potrzebowałem, żeby samolot wypatrzeć. Ale mniej więcej po roku trenerzy, z którymi miałem tutaj kontakt w Warszawie, wystarali się to, że przenieśli mnie do CWKS-u do Warszawy. I służbę zakończyłem na Łazienkowskiej w CWKS-ie.

Szymon Nowak: Wszystko się ładnie ułożyło.

Jan Witkowski: Dobrze się to ułożyło, bo tamta jednostka zła w Morągu nie była, dowódcą był oficer frontowy, major. Dobry człowiek w każdym razie. Dowódca kompanii, którego miałem tam, młody oficer. Ale oficer, który szanował mundur, szanował siebie, naprawdę bardzo się wyróżniał wśród nawet tych oficerów w jednostce. Tak, elegancki, ładny, w ogóle, a poza tym przystojny bardzo był facet. Ja miałem tę drużynę tych dalmierzyców, chodziłem z nimi na te ćwiczenia, wyszukiwaliśmy samoloty i uczyłem ich, jak robić te namiary na te samoloty. I później podawanie komendy do celowniczego, do działu. Po wojsku, jak wróciłem, aha, jak zacząłem pracować tam na Armatniej, po tym technikum dostałem, można to tak powiedzieć, zakwalifikowany byłem, dosyć wysokie stanowisko takie. To się nazywało referendarz. I jak poszedłem do tamtego działu, w tamtym dziale pracowało około chyba 10 osób, naczelnik miał jakieś tam wysokie stanowisko, natomiast ci pracownicy, ja byłem młody wśród tych pracowników, młodziutki, po szkole, a tamci starsi panowie, z dużo niższymi stanowiskami. Jacyś tam kontyści, młodszy referenci, nawet referenci, a tutaj referendarz. I oni się buntowali przeciwko mnie. Ja się tam bardzo w ogóle źle czułem w tym dziale. I naczelnika namówili do takiej rzeczy. Ponieważ dział eksploatacji wagonów interesowało, ile tych wagonów w dyrekcji jest, jakiego typu wagony są, gdzie te wagony są, bo różne wagonownie, różne warsztaty były wagonowe, wagony były kierowane do napraw i tak dalej. W tym dziale była zbierana taka informacja cała na ten temat, ale między innymi przecież były i wagony osobowe. A w wagonach osobowych były kradzieże. W związku z tym jak były kradzieże, to milicja i SOK prowadzili różne dochodzenia tych kradzieży. Jak była taka kradzież, na kolei byli tak zwani rewidenty. Panowie, którzy jak wagon przyszedł, oni sprawdzali ten wagon, w jakim on stanie jest i tak dalej. Takie protokoły robili. Więc od tych rewidentów przychodziły raporty, że tego i tego dnia wagon taki, relacja taka, nastąpiła na przykład kradzież pasów skórzanych do podnoszenia okien. Kiedyś takie okna były podnoszone na pasach skórzanych, potem parciane pasy zaczęli robić. Przeróżne rzeczy były kradzione, klamki, nie klamki, wszystko się ludziom przydawało. Ja musiałem te raporty zbierać, z tego robić protokoły, zbierać raporty ze śledztwa milicji, czy milicja znalazła sprawcę, czy nie znalazła. Jak nie znalazła sprawcy, to musiałem pisać raport o ukaranie konduktora, że konduktor nie dopilnował. Wiadomo, był taryfikator taki na karanie tych konduktorów. To były niewielkie pieniądze, ale ci konduktorzy też kokosów nie zarabiali. Przychodzili do mnie, prosili: „Panie referendarzu, niech pan się zlituje”, i tak dalej. Naprawdę bardzo się źle czułem z tym, bardzo się źle czułem. I jak wyszedłem z wojska, to bałem się, że z powrotem tam trafię. I kombinowałem na wszelkie sposoby, żeby na kolei nie trafić, pójść gdzie indziej do pracy. Rzeczywiście poszedłem gdzie indziej do pracy. Poszedłem, tutaj na Forcie Mokotowskim był zakład produkcyjny, w którym były produkowane nadajniki radiowe do zagłuszania Zachodu i kolumny głośnikowe, takie specjalne kolumny głośnikowe na wózkach takich, że były przyczepione do samochodu i można było ustawić w różnych miejscach, na jakichś wiecach, placach i tak dalej. I tam się zatrudniłem jako technolog, tam pracowałem jakiś tam czas. Ale też różnie to tam w pracy było. W końcu nie spodobałem się dyrekcji, zwolnili mnie stamtąd. Szukałem znów innej pracy, znalazłem sobie, tak że różne prace potem znajdowałem, a tak się kierowałem, gdzie mnie najbardziej ciekawiło. I takimi ostatnimi dwoma najciekawszymi pracami w moim życiu to był zakład produkcyjny na ul. Poligonowej, gdzie produkowano radary do namierzania samolotów, a później z tamtego zakładu przeszedłem jeszcze do Falenicy, do zakładu automatyki przemysłowej. Tam też na różnych stanowiskach pracowałem. Najciekawsze stanowiska to były biuro konstrukcyjne i na samym końcu mojej pracy już to było biuro projektowe. Tam to był bardzo ciekawy w ogóle zakład. Robiliśmy urządzenia dla wszystkich większych zakładów chemicznych

w Polsce. Dla Płocka, dla Tarnobrzegu, dla Oświęcimia, dla mniejszych zakładów. Poza tym była kooperacja taka, dla kilku zakładów w Niemczech. Leuna, Bitterfeld-Wolfen, w Czechosłowacji, w Związku Radzieckim, cukrownie i te zakłady siarkowe. Tak że ciekawa praca była, bardzo dużo. W okresie, jak „Solidarność” się zrobiła, to tam też w zakładzie się zaczęło to wszystko chwiać i psuć. Moje biuro projektowe zaczęło się rozlatywać. Ludzie zaczęli po prostu kombinować, że cały zespół projektowy usamodzielniał się sam. Tak że to się rozpadło. A ja pomyślałem: Jak to tak się dzieje fajnie, to ja sobie sam założę własny warsztat. Chciałem założyć własny warsztat. Chciałem się zająć przetwórstwem tworzyw sztucznych, ale w tych wydziałach przemysłowych w dzielnicach nie chcieli mi pójść na rękę z tym. „Owszem, może pan robić, ale nie to”. „To co mogę robić?” „To niech pan szyje torby”. Nie bardzo mi to podobało się, ale z dwojga złego to trzeba było zacząć robić. Zacząłem to robić, może w innych warunkach i bym robił, i by to było nawet bardzo fajne. Ale w tym czasie było bardzo trudno zdobyć materiał. Z kombinacją materiału to było tak, że musiałem kupować materiał na lewo, przed władzami musiałem się wylegitymować, że mam legalnie kupiony materiał, bo inaczej by mnie zamknęli od razu. Męczyłem się, chyba z rok się tak męczyłem i powiedziałem sobie: Nie, to ja znów idę do roboty. Poszedłem do pracy, skorzystałem z tego, że mogę przejść na wcześniejszą emeryturę, przeszedłem i w dalszym ciągu pracowałem. Pieniądze były potrzebne, trzeba było mieszkanie urządzić jakoś i w ogóle. Tak że w dalszym ciągu pracowałem, już w różnych prywatnych firmach takich. Pracowałem tak długo, dopóki nie zachorowałem. Zachorowałem, choroba ciężka, niedobra, w każdym razie po operacji już nie miałem siły dalej pracować. Już po operacji już nie pracowałem, już nie miałem siły pracować. I już byłem emerytem w dalszym ciągu. Jak tylko zdążył się zawiązać Związek Powstańców Warszawskich, to zapisałem się. I od tamtej pory należę do Związku Powstańców Warszawskich. Ale jak tutaj na Ochocie zamieszkałem, to zetknąłem się z byłymi żołnierzami Wojska Polskiego, z pilotami, bo tutaj dużo pilotów mieszkało też. I mówią: „Janek, zapisz się do ZBoWiD-u”. Do tego ZBoWiD-u się w końcu zapisałem. „To może będziesz coś robił, pomożesz nam coś”. Dobra, to pomogę. I tak mnie wciągnęli. I przeróżne funkcje pełniłem. Pierwszą funkcję to byłem członkiem takiej Komisji Mianowań i Odznaczeń. Później byłem skarbnikiem. I ten skarbnik ciągle się za mną ciągnął całusiutki czas, potem był utworzony rejon Ochota, zostałem skarbnikiem rejonu Ochota. Potem nastąpiła reorganizacja terytorialna. Ochota się podzieliła na Ochotę i Włochy. I zostałem prezesem Koła na Ochocie. Jestem do dzisiaj prezesem Koła na Ochocie, ale jestem równolegle wiceprezesem Zarządu Głównego Związku Kombatantów i skarbnikiem też. I pełnię tę funkcję do dnia dzisiejszego, jeśli chodzi o powstańców. Mamy na Nowolipiu 22 Dom Powstańca. Siedziba, że tak powiem nasza, jakby rodzina dosłownie. Tam się spotykamy, tam możemy sobie i porozmawiać, i zajęcia różne, i wycieczki różne. I to jest taki drugi dom dla nas. Bardzo, bardzo przyjemne to jest. A korzystam ze wszystkiego, z czego można jeszcze korzystać. Ojciec miał na imię Włodzimierz Witkowski.

Szymon Nowak: A który rocznik urodzenia?

Jan Witkowski: 1901.

Szymon Nowak: Mama?

Jan Witkowski: Mama Zofia, 1898 chyba rok. W Inowrocławiu się urodziła, a ojciec się urodził na Podolu, w majątku mojego dziadka Boguszówka.

Szymon Nowak: A czy rodzeństwo miał pan?

Jan Witkowski: Dwie siostry. Starszą siostrę Marię, która była też w powstaniu, była łączniczką. Rocznik 1930. Zmarła, kilka ładnych lat temu zmarła w Anglii, w Brighton. Młodsza siostra Basia, 1936 rocznik, też zmarła, w Świdniku.

Szymon Nowak: A wspominał pan też, że ma pan syna, tak?

Jan Witkowski: Mam syna Marka, tak jest. Marek, 1973 rocznik.

Szymon Nowak: O, to mój rocznik. A o żonie coś?

Jan Witkowski: Żonaty jest, żona Emilka, młodsza jest, nie wiem, ileś tam dobrze lat od niego, ale nie wiem, nie pamiętam.

Szymon Nowak: To już nie wnikajmy.

Jan Witkowski: Mieszka w Gdańsku, jest żeglarzem między innymi też, informatykiem i żeglarzem. Oboje są żeglarzami, pływają cały czas. Syn ma już szlify kapitańskie kapitana jachtowego, a ona już ma sternika jachtowego.

Szymon Nowak: Czyli te zainteresowania tam rozwijają.

Jan Witkowski: Prowadzą szkolenia, bo oboje instruktorami są też, prowadzą szkolenia. Młodemu pokoleniu to ciągle powtarzam: Uczcie się, moi kochani, uczcie się, nie wagarujcie, bo nauka, którą zdobędziecie, to będzie wam w życiu procentowała, bo człowiek ten, który się wyuczy tylko jednego zawodu, to będzie wegetował. Musi znać kilka zawodów i te zawody dobrze poznać, żeby być mistrzem w zawodzie, a nie byle kim.

Szymon Nowak: Piękne przesłanie.

Jan Witkowski: Ja też mam mnóstwo zawodów. Jestem elektrykiem, automatykiem, stolarzem, ślusarzem, mogę być kowalem, mogę być kierowcą, trochę się znam na księgowości, na planowaniu się trochę znam.